

Piter Murphy
Trzy ...



PITER MURPHY

TRZY

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2011

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Piter Murphy 2011

Okładka i ilustracje Copyright © Daniel Bąkowski 2011

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2011

Wydanie numer I

ISBN 978-83-63111-50-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Ewelina czuła, że ten dzień będzie inny. Nie potrafiła tego racjonalnie wytłumaczyć, po prostu coś wisiało w powietrzu. W nocy kiepsko spała, budziła się parokrotnie. Wstała wcześniej rano i patrząc w lustro, po raz kolejny powtórzyła w myślach, że musi... po prostu musi coś zmienić w sobie, w swoim życiu, choć jeszcze nie bardzo wiedziała co konkretnie. Ale tak dalej być nie mogło. Wpadała w jakąś obsesję; zdawało jej się, że ktoś grzebał w jej komputerze, przeszukiwał jej biurko, miała wrażenie, że ciągle ktoś ją śledzi i podsłuchuje. Od tej roboty dostawała paranoi! Co gorsza pod oczami pojawiły się cienie i pierwsze zmarszczki mimiczne. Niedobrze. Wręcz fatalnie, biorąc pod uwagę, że była kobietą.

Poranna toaleta i codzienny rytuał – krople gorącej, świeżo parzonej w ekspresie kawy powoli kapały do kubka, dając znak do rozpoczęcia dnia. Leniwie włączyła komputer, sprawdzając prywatną pocztę. Nic ważnego. Jak zwykle jakieś grupowe wiadomości, których nawet nie czytała – od razu wylądowały w folderze „spam”. Odsunęła krzesło i podeszła do dużego okna. Parę lat temu otrzymała apartament na Mokotowie jako rekompensatę po rozwodzie.

Rekompensata... Czy za cenę mieszkania można zwolnić się z przysięgi małżeńskiej, po prostu dać sobie spokój, wykpiwając się ze zobowiązań namiastką odszkodowania za... straty moralne? Przecież to miało być na zawsze, do końca dni, tak sobie przysięgali. Błędy młodości...? Zaraz po ślubie zaszła w ciążę i parę miesięcy później w wypadku samochodowym straciła dziecko. To nie była jej wina. Pijany kierowca w Oplu Corsie zjechał ze swojego pasa wprost na jej samochód. Nigdy nie winiła siebie za to, co się stało, ale nie była ślepa. Od tamtej pory coś się między nimi popsuło, mąż wracał coraz później z pracy, przestali dzielić wspólne pasje, zaczęli życie obok siebie. W końcu przyszedł i wyznał wprost, że ma kogoś i jest mu przykro, że muszą się rozstać i tak będzie najlepiej.

Czy w ogóle obchodziło go, jak się czuła? „Jest mi przykro” – trzy słowa bez większego znaczenia. Nawet wypowiedział je taki tonem, jakby przepraszał za brak cukru do herbaty.

Tamtego wieczora zrozumiała, że owszem była mu potrzebna, ale nigdy jej nie kochał. Znali się od dziecka, zawsze razem, nierozłączni, wspólna podstawówka, liceum, potem ten sam kierunek studiów, dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, wreszcie praca w jednym wydawnictwie, a później w znanej gazecie ogólnopolskiej. Teraz mijali się czasem na korytarzu, wymieniając zdawkowe uwagi i uśmiechy. To było dopiero przykre...

Z zamyślenia wyrwały ją wibracje telefonu komórkowego. Powoli podeszła do stołu, przeczuwając, a raczej obawiając się, że odezwie się ktoś, z kim nie chciałyby rozmawiać. Spojrzała na wyświetlacz. Numer nieznany. „Może nie odbiorę, albo odrzucę...?”

Zwyciężyła ciekawość.

– Halo, słucham – rzuciła do słuchawki ochrypłym z niewyspania głosem.

– Pani Ewelino, mówi Szymonowicz. Mam pytanie i jednocześnie dużą prośbę. Czy może pani bezpośrednio po przyjściu do pracy zjawić się u mnie? – usłyszała nosowy głos prezesa.

– Oczywiście, panie prezesie, ale czy coś się stało? – zapytała, nerwowo przelękając ślinę.

– Nie, nic się nie stało, ale mam dla pani ważne zadanie. Tylko pani się do tego nadaje. Ale oczekuję dyskrecji. Czekam – po tych słowach przerwał połączenie.

Odłożyła komórkę i zadumała się. Co było aż takie ważne, że została wezwana przez samą „góre” w trybie pilnym? „Jak to ujął? – myślała gorączkowo. – Że jestem niezbędna? I jeszcze ta dyskrecja...” Owszem, przydawała się w jej zawodzie, ale po co o tym przypominał? Nie zwykła paplać bez potrzeby, była doświadczoną dziennikarką. Dlatego prośba prezesa wydała się jej co najmniej dziwna. Czyżby

znów jakaś informacja o płatnej protekcji, dokonanej przez kogoś w Sejmie, albo przeciek o wniosku opozycji w sprawie odwołania rządu? Intrygowała ją ta wiadoma...

Paręnaście minut później, kiedy zbiegała do podziemnego garażu, ogarnęło ją znowu to złowrogie uczucie, które towarzyszyło jej od jakiegoś czasu. Miała wrażenie, że jest obserwowana, ale szybko odrzuciła tę paranoiczną myśl; wsiadła do swojego czarnego peugeota i przekręciła kluczyk. Odetchnęła z ulgą, gdy silnik zaskoczył po pierwszej próbie. Dzisiaj wyjątkowo, acz celowo, założyła czarną sukienkę od Paprockiego oraz stylowe szpilki od Gucciego, chociaż w żaden sposób nie pasowały do charakteru jej pracy, a cały strój nadawał się bardziej na wieczór niż do biura. Chciała być seksowna, zwłaszcza podejmując grę, której nie rozumiała. Przez całą drogę gorączkowo zastanawiała się, dlaczego sam prezes wezwał ją do siebie o tak wczesnej godzinie. Nadziei na awans raczej nie miała. „Prędzej mnie zwolnią, bo komuś ważnemu na odcisk nadepnęłam, do jego brudów się dokopałam... – pomyślała. – A wrażenie bycia śledzonym to zboczenie zawodowe. Dlatego właśnie potrzebuję zmian”.

Marta wierciła się niecierpliwie na twardym krześle, czekając w korytarzu na swoją kolej. Szpital św. Józefa w Toruniu – oddział onkologiczny. Jakże często tutaj bywała... Za często. Od prawie czterech miesięcy. Smutne miejsce. Mdły, szpitalny zapach i blade ściany sprawiały, że chciała stąd uciec. Wolałaby nie usłyszeć kolejnego wyroku, nie chciała teraz umierać, teraz, kiedy między nią a Krzysztofem zaczęło się jakby lepiej układać... Przecież tak wiele już przeszła w życiu. Mijających ją ludzi ledwie odróżniała od nijakich ścian – byli równie szarzy i smutni. Snuli się

bez nadziei na przyszłość, umierając za życia, bo brak wiary w wyzdrowienie sprawiał, że już czuli się trupami.

Wiadomość o nowotworze przyszła nagle. Nie miała wcześniej żadnych dolegliwości, a badanie sprzed kilku miesięcy było czystym przypadkiem. Tylko towarzyszyła teściowej, która czuła się nie najlepiej. Poddała się badaniu za jej namową. Wcale nie miała na to ochoty, ale wołała ustąpić, niż dyskutować. Matka Krzysztofa była równie uparta jak jej syn. Ale dzięki temu poznała prawdę. Wyniki analizy krwi wykazały, że coś jest nie tak. Dalszych testów najchętniej wcale by nie przeprowadzała. Bała się...

Ostatecznie nowotwór okazał się złośliwy i podstępny. Nie domyślała się, że gorączkowanie, bóle mięśni, duża senność oraz ogólne zmęczenie to symptomy choroby. Diagnoza brzmiała jak wyrok! Poraziła Martę. Nie była na to przygotowana. Zresztą, kto jest... Mieszkała na Podgórzu, w ubogiej dzielnicy Torunia, gdzie prawie wszyscy się znali z imienia. Nie dało się ukryć takiej „nowiny”; odtąd sąsiedzi patrzyli na nią z litością i szeptali za plecami. Niektórzy gadali o niej, jakby już umarła. A przecież ciągle żyła!

Wycofała się, ukryła, prawie nie wychodziła z domu; jedynym jej łącznikiem ze światem był Krzysztof, który, o ironio, wreszcie miał ją całą dla siebie. Jej mąż uchodził za mruka i tyrana, ale Marta nie myślała o nim w ten sposób. Nie po dzieciństwie spędzonym w towarzystwie władczej matki i ojca pantoflarza. Owszem, nie była aż tak zaślepiona, by nie widzieć, że Krzysztof również wykazywał zapędy dyktatorskie. Lubił, gdy wszystko układało się po jego myśli, ale chętnie się na to godziła. Pragnęła zaznać wreszcie w życiu trochę szczęścia, chciała, żeby ktoś ją kochał... A ostatnio ich stosunki się ociepliły, martwił się o nią. Mimo tragizmu sytuacji to... było miłe. Dla niego chciała żyć. Choć teściowa mruczała, że co z niej za żona, z rakiem, przez którego wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle, a na dokładkę, jak to ujęła, nie szanowała swojego męża. Nie szanowała? Bo wbrew jego życzeniu

pojechała do rodziców, by im powiedzieć o chorobie? A co, mieli się o wszystkim z nekrologu dowiedzieć?! Ale teściowa widziała sprawy po swojemu. Podśluchiwała jej rozmowę z Krzysztofem, gdy wpadli ostatnio z wizytą. Właściwie nie podśluchiwała – teściowa celowo mówiła tak głośno, aby usłyszała. Zbuntowana jałowa myszka. Tak ją nazwała. Jakie to było upokarzające! Wiedziała, że powinna walczyć, o siebie, o swoje małżeństwo, że nie wolno jej beczynnienie siedzieć i płakać. Co z tego, że była typem szarej myszki, że nie dbała zbytnio o siebie; Krzysztof wcale od niej tego nie wymagał. Żona powinna być dla męża, nie dla świata, a ona chciała być dla niego wspaniałą żoną, najlepszą. Tylko że ostatnio nie miała już na to siły...

A bała się, że i czasu nie zostało jej za wiele...

– Pani Marta Bielicka... – z impetem nagle otwieranych drzwi padła komenda, wydana bezbarwnym głosem.

– Tak, jestem. – Zerwała się z krzesła, tuląc do piersi czarną, niemodną już skórzaną torebkę.

– Proszę wejść. – Pielęgniarka przepuściła ją w drzwiach, tarasując jednocześnie część wejścia, jakby chciała obronić gabinet przed naporem tłumu tych smutnych ludzi z korytarza.

Marta powoli weszła do gabinetu. Usiadła na krawędzi krzesła, splotła dłonie i spuściła wzrok, gapiąc się na czubki butów lekarza. Zastygła w oczekiwaniu na jego słowa. Poczowała, że jej ciało coraz mocniej drży, a dłonie zaczynają się pocić. Ostatnio tyle się działo. Kolejne badania i kwalifikacje do tej czy innej metody terapeutycznej, podobno ratującej jej życie – nie pozostały bez echa. Wpłynęły na jej psychikę. Czy istniała jeszcze nadzieja? Dziś lekarz miał podjąć decyzję o sposobie leczenia. Biorąc dokumenty z ostatnich badań, spojrział na nią i nagle na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju zaskoczenia. Zlustrował Martę uważnie zza plastikowych soczewek okularów, jakby bez słów pytając, o co tu chodzi...

Przeglądał wypełnione formularze analiz, wydruki z urządzeń laboratoryjnych, czytał opisy badań, potem odłożył papiery, znowu przypatrując się pacjentce. Marta, niemal sparaliżowana strachem, nie potrafiła się poruszyć.

– Pani Marto. Mam dla pani dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć? – zapytał, obserwując jej reakcję.

– Od złej, panie doktorze – zdecydowała, spuszczać wzrok i czując, że walące serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

– Musimy powtórzyć ostatnie badania – powiedział szybko. – A teraz dobra wiadomość. Jeżeli nie pomyłono kart, to jest pani zdrowa! Chłoniak cofnął się. Wyniki są idealne! Jak u zdrowego człowieka. Ale chyba pani rozumie... Musimy powtórzyć wszystkie badania, aby wykluczyć pomyłkę. Potem trafi pani pod obserwację, która będzie polegała na naszych spotkaniach, początkowo cotygodniowych, potem stopniowo coraz rzadszych. Nie znam takich przypadków, nawet ze słyszenia, żeby rak się tak po prostu wycofał, bez leczenia chemioterapią czy też innymi znanymi metodami. U pani jakby wszystko samo zniknęło. Można to nazwać remisją. Lub cudem, o ile pani jest wierząca – dodał, kierując wzrok na medalik z Matką Boską, który spoczywał na jej piersi. Zamyślił się na dłuższą chwilę i kontynuował: – To wbrew nauce, medycynie i wbrew powszechnie znanym opisom przypadków. Oczywiście ludzie wychodzą z tego typu chorób, ale pani miała chłoniaka, a to jest nowotwór krwi. Rozumie pani, co mówię? – zapytał delikatnie, dotykając dłoni Marty, jak gdyby chciał zbadać jej puls. – To bardzo poważna choroba, a teraz wychodzi na to, że... wszystko minęło. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale takie rzeczy się też zdarzają i cieszę się, że akurat zdarzyły się pani. Choć naprawdę nie pojmuję... – szepnął bardziej do siebie niż do pacjentki. – Siła wyższa...

Marta też nie rozumiała. Słuchała słów lekarza jak niestosownego żartu. Bała się uwierzyć w powrót do zdrowia. Teraz, gdy już niemal pogodziła się ze śmiercią. Gdy wszystko, co ważne, stało się odległe, a ona sama jakby zobojętniała. Od chwili gdy

dowiedziała się o chorobie, powtarzała w kółko jakieś magiczne mantry. „Przecież to tylko przejście w lepszy świat” – tłumaczyła sobie, tuląc się do męża wieczorami. Nie zawsze pomagało. Ostatnie miesiące to była ciągła bitwa, walka toczyła się między wiarą a rezygnacją. Dwa światy. Anioł nadziei i demon śmierci. I w tych końcowych, jak jej się zdawało, godzinach, zwyciężał demon śmierci...

Mieli z mężem umowę, że nie będą rozmawiali o tym, co się dzieje, że nie dadzą się zwariować. Płakała, ale w środku. Mimo wszystko starała się być taka jak zwykle, choć dręczyło ją wiele pytań bez odpowiedzi. Co będzie z Krzysztofem? Jak sobie sam poradzi? Czy powtórnie się ożeni?

Teraz pojawiły się nowe niewiadome. Czy skoro wyzdrowiała, wszystko już będzie dobrze? Na nowo odbudują swój bezpieczny świat, by żyć w nim w harmonii i szczęściu? Nie wiedziała, nie miała pewności, do oczu cisnęły się łzy...

Musiała poszukać nowego punktu zaczepienia. Na przykład... że skończyła zaledwie dwadzieścia dziewięć lat! Chciała mieć dzieci i prawdziwą, pełną rodzinę. Tak, była bezpłodna, teściowa to także w kółko jej wypominała, ale Marta wierzyła, że również z tego może się wyleczyć. Wiedziała, komu zawdzięczała tę nadzieję... Jej myśli na moment pobiegły w odległy zakątek Polski.

Lekarz mówił dalej, ale nie słuchała go zbyt dokładnie. Wreszcie zaczęła do niej docierać niesamowita prawda. Poczła taki przyływ euforii, że aż jej się w głowie zakręciło. Była bliska omdlenia. Opanowała emocje resztkami sił, wstała i skierowała się do wyjścia. W jej głowie rozbrzmiewała triumfalnie jedna myśl: „Jesteś zdrowa, Marto!”.

– Pielęgniarka zapisze panią na kolejną wizytę kontrolną – dodał nieco głośniejszym głosem lekarz, jakby wiedział, że pacjentka ledwie go słyszy. – Dobrze się pani czuje? Pani Bielicka?...

– Tak, przepraszam... to dla mnie za dużo jak na jeden raz. – Próbowała opanować drżenie głosu i rąk.

– To mnie akurat nie dziwi. Gratuluję i oby diagnoza się potwierdziła, bo... jest dobrze, pani Marto! – Odprowadził ją do drzwi, ściskając dłoń na pożegnanie.

Nie wiedziała, jak znalazła się na ulicy. Dopiero ciepły powiew wiatru przywrócił jej pełną świadomość. Z tego wszystkiego zapomniała zapisać się na wizytę kontrolną. Nerwowo poszukała w torebce komórki – starego modelu Nokii – i wybrała numer męża. Odebrał po trzecim sygnale.

– Słucham... – odezwał się zachrypnięty głos.

– Krzysztof... – Zawahała się, bo jak przekazać wiadomość o cudzie. Wyznała więc po prostu: – Jestem zdrowa...

Potem opowiedziała w skrócie, czego dowiedziała się od lekarza prowadzącego. Krzysztof milczał, ale Marta mogła przysiąc, że usłyszała zduszony spazm szlochu, a potem głębokie westchnienie ulgi.

– O której będziesz? – zapytał swoim zwykłym beznamiętnym tonem, choć zastanowiła ją lekka zadyszka, na którą dopiero teraz zwróciła uwagę.

– Dlaczego tak dyszysz?

– Dlaczego dyszę? Biegłem do telefonu.

– Nie wiem, o której przyjadę. Muszę jeszcze zrobić zakupy. Myślę, że za jakieś dwie godziny. Kupię coś pysznego i przygotuję uroczyste śniadanie.

– W porządku, kochanie, wracaj ostrożnie. Czekam na ciebie – zakończył rozmowę, rozłączając się.

I to wszystko?

Marta przez moment pozostała w nieruchomej pozycji, z telefonem przy uchu. Straszne myśli przysły jej do głowy. Chciała je szybko odrzucić, ale... skąd ten przyspieszony oddech Krzysztofa? Biegł? Nie zwykł biegać nawet dla zdrowia, tym bardziej po domu... Uciał rozmowę tak nagle i... nie cieszył się zbytnio. Niepewność

wróciła ze zdwojoną siłą. Czy mogą być znowu szczęśliwi? Skoro już rok po ślubie bajka zaczęła się psuć...

Krzysztof niby nadal był miły i opiekuńczy, ale stawał się innym człowiekiem. Albo raczej ujawniał prawdziwe oblicze. Powoli, bardzo powoli osaczał ją, ingerując niemal w każdą dziedzinę jej życia. Decydował o jej strojach, fryzurze, diecie, kontaktach ze znajomymi, nawet z rodziną... Niby niczego kategorycznie jej nie nakazywał ani nie zabraniał, on tylko sugerował. Tym swoim oschłym, kostycznym tonem. A najdrobniejszy przejaw oporu karał milczeniem. Dlatego nie ścięła włosów, choć tyle przy nich było roboty; dawno wyrosła z warkoczy i marzyła jej się jakaś modna, krótka fryzurka. Ale nie znosiła cichych dni, więc ustąpiła; matka zbyt często stosowała tę karę. Nauczyła się nie protestować, chciała, żeby był zadowolony. Przywykli do układu bez kłótni i ekscytacji, bez namiętności i szczerości. Miało być idealnie, a zrobiło się nijako. Wkradła się rutyna, z czego Marta doskonale zdawała sobie sprawę. Niestety, nie potrafili o tym rozmawiać, unikali tematu i problemu, nie chcieli, a może nie potrafili tego naprawić. I wtedy... ten chłoniak! Przekleństwo i wyzwolenie zarazem. Choroba w pewnym stopniu zbliżyła ich do siebie, dając cień nadziei na odnowę związku. Zaczął liczyć się z jej zdaniem, przynajmniej w niektórych kwestiach. Przecież wysłuchał jej i pozwolił szukać ratunku w małej wiosce na południu, nawet pojechał razem z nią...

Poczuła wdzięczność i wzruszenie. Spojrzała na zegarek. Za parę minut odjeżdżał autobus, więc musiała się pospieszyć. Po parunastu metrach odwróciła się, ogarniając wzrokiem cały szpital i uśmiechając się przez łzy. Jednak odniosła zwycięstwo i wiedziała, komu powinna podziękować. Odruchowo dotknęła medalika ukrytego pod bluzką i pomyślała ciepło o Marii – tajemniczej kobiecie z Podkarpacia.

Zdecydowała, że na zakupy pójdzie razem z mężem, do sklepiku na rogu. Przecież muszą uczyć jej cudowny powrót do zdrowia. Tak, wspólnie wybiorą jakieś

wino na wieczór, albo lepiej – szampana. Rozmyślania przerwał nadjeżdżający autobus linii 72. Jej autobus.

Ewelina po dwudziestu pięciu minutach znalazła się pod biurowcem swojego pracodawcy. O tej porze Warszawę można było przejechać w miarę spokojnie, więc trasa z Wilanowa do Śródmieścia trwała krótko. Zadarła głowę do góry, dostrzegając na trzynastym piętrze zapalone światło – tam znajdowało się królestwo prezesa, tam oczekiwał na jej przybycie.

Warszawa w swoim tempie budziła się ze snu – a w redakcji już wrzało. Ruszyła ku windowi. W samochodzie nic nie wymyśliła. Miała jakieś mgliste koncepcje, ale wydawały jej się zbyt naciągane, zbyt fantastyczne. Świat nie mógł być aż tak pokręcony. Nadal więc nie wiedziała, co mogło być powodem wezwania przez szefa. W radiu leniwy głos spikera również nie zapowiadał żadnych incydentów z udziałem znanych osobistości. Zaniepokojenie Eweliny rosło.

„A może dostanę podwyżkę? Dawno sobie na nią zasłużyłam – zastanawiała się. – Czemu więc nie raduje mnie ta perspektywa...?” Zatrzymała się na moment, uświadamiając sobie ważną rzecz: nie miałaby z kim podzielić się swoim kolejnym sukcesem. W jednej chwili dopadła ją nostalgia.

Matka nie żyła, z ojcem zerwała kontakt, rodzeństwa nie miała. „Gdybym umarła, to kto wyprawiłby mi pogrzeb? Co za ponure myśli. Brr...” Wcisnęła guzik przywołujący windę. Nim wsiadała, wygładziła sukienkę i poprawiła palcami włosy. „Cholera, muszę iść na jogę, odprężyć się, inaczej dorobię się jakiejś depresji albo nerwicy natręctw...” Wcisnęła magiczną trzynastkę, po kryjomu żegnając się i wzywając pomocy świętego, którego imię pamiętała jeszcze z lekcji religii.

Winda bezszelestnie ruszyła w górę; w miarę pokonywania pięter podświetlały się kolejne, coraz wyższe cyfry. Ewelinie wydawało się, że jeszcze nigdy tak długo nie jechała windą. Ze wszystkich sił starała się wyciszyć. Bezwiednie zaczęła szukać w torebce papierosów, klnąc w myślach, że głupia paczka gdzieś się schowała, dopóki nie przypomniała sobie, że przecież nie pali od paru miesięcy. Próbowwała stosować techniki oddechowe, ale omal się nie udusiła, zaatakowana przez niespodziewany napad kaszlu. Wreszcie drzwi trzynastego piętra otworzyły się i oczom Eweliny ukazał się czerwony dywan, prowadzący wprost pod mahoniowe, dźwiękoszczelne drzwi z tabliczką „Marcin Szymonowicz – PREZES”. Znowu nerwowym gestem poprawiła fryzurę, po czym wzięła głęboki oddech, podeszła i zapukała.

Po blisko półgodzinie jazdy Marta wysiadła z przepełnionego autobusu, w którym wymieszane zapachy ludzkich ciał tworzyły specyficzny, ostro-kwaśny odór. Autobus miał opóźnienie prawie siedem minut, co irytowało pasażerów i stało się głównym tematem utyskiwań; oczywiście obok narzekania na wysoką temperaturę, choć to dopiero ranek, więc jak gorąco będzie później. Z dużą ulgą wysiadła, łapiąc hausty świeżego powietrza. Teraz żałowała, że nie pojechała samochodem razem z mężem. Ale w tej trudnej chwili nie chciała litości, niepotrzebnych słów, zamierzała najpierw sama uporać się z oczywistym, zdawało się, wyrokiem; potem pocieszałby najbliższych, dla których pragnęła być silna.

Pod blok dotarła niecały kwadrans później. Pewnie zaskoczy męża wcześniejszym powrotem – przecież miała jeszcze iść na zakupy. Domofon przy bramie wejściowej znowu nie działał; wygrzebała klucze z torebki, otworzyła zamek

i barkiem pchnęła ciężkie drzwi, na których ktoś nabazgrał sprayem wulgarne słowa. Z trudem otwarły się pod naporem jej wątlęgo ciała.

Mieszkali w czteropiętrowej kamienicy na trzecim piętrze. Trzy przestronne, jasne pokoje. Jedywym mankamentem była konieczność dogrzewana zimą w piecu kaflowym, ale dawało się wytrzymać. Nieczęsto zdarzały się duże mrozy, więc pieca używali sporadycznie, ale lubiła go jako ozdobę mieszkania. Wspięła się po schodach i weszła do domu, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Krzysztof nie lubił trzasków. Zaniepokojona dziwnymi odgłosami, dobiegającymi od strony sypialni, zdjęła pantofle i podeszła bliżej. Dotknęła zimnej klamki. Znowu usłyszała piski i śmiechy. Nie, nie mogła się mylić. To był śmiech kobiety, chyba nawet wiedziała której. Serce załomotało gwałtownie. Z impetem otworzyła drzwi i... o mało nie zemdląła. Krzysztof trzymał w ramionach Jadwigę, odzianą tylko w stanik i kuse majtki. Obejmowała go, piszcząc szaleńczo.

Na jej widok zerwali się. Jadzka – niespełna osiemnastoletnia sąsiadka – zaczęła szukać bluzki, a Krzysztof coś bełkotał pod nosem, że to nie tak, głupio wyszło, że to właściwie jej, Marty, wina. Poczula mdłości. Nie zastanawiając się długo, wparowała do drugiego pokoju i wyciągnęła z szafy dużą, zieloną walizkę, do której pośpiesznie wrzuciła to, co znalazła na wierzchu w szufladach. Parę sukienek, trzy bluzki, trochę bielizny. Domykając walizkę, zapytała retorycznie:

– Dlaczego właśnie mnie to spotkało? Dlaczego właśnie mnie...?

Nie usłyszała odpowiedzi. Nikt za nią nie pobiegł, nikt nie prosił, żeby wróciła. Nikt nawet nie rzucił zdawkowego „przepraszam”. Czula, że nie może dłużej tu zostać... i wiedziała, że już tutaj nie wróci... Nigdy. Skończyło się, coś bezpowrotnie pękło, klapki z oczu spadły...

Nie płakała. Wyszła na zewnątrz, opanowując złość i narastającą chęć zemsty. Przed budynkiem po raz ostatni obejrzała się za siebie, patrząc w okna domu, w którym spędziła tyle lat. Faceci zdradzają, ale dlaczego właśnie jej musiało się to

przytrafić? Nie wystarczy, że mała nie umarła na chłoniaka? Jakim zasadami kieruje się ten chory świat? Nagle pojawiła się myśl, że dostała nowe życie, ale jednocześnie straciła bezpowrotnie to poprzednie. Czy żałowała? Zajrzała w głąb siebie i pod powierzchnią złości, oburzenia, znalazła spokój i ulgę. Tak, mimo rozczarowania jego zachowaniem, ulżyło jej. Wreszcie wiedziała, na czym stoi. Na pustce. Zbudowała swój dom, swoje marzenia o szczęściu i rodzinie na ułudzie. Koniec z tym. Jego zdrada ją uwolniła; skorzystała z okazji, jakby podświadomie od dawna na nią czekała. Zdobyła się więc na odwagę i odeszła. Koniec ustępstw, koniec dziwnego układu. Zerwała się ze smyczy chorej lojalności.

W drodze na dworzec wypłaciła jeszcze dzienny limit gotówki z bankomatu, tysiąc złotych; zanim Krzysztof zablokuje konto. Bo że to zrobi, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Co teraz? Gdzie powinna się udać? Istniało jedno takie miejsce, miejsce początku, ale... czy to naprawdę dobry pomysł? Czy okaże się aż tak odważna? Znała matkę i jej konserwatywny stosunek do małżeństwa. Zawsze jej powtarzała, że miejsce kobiety, niezależnie od okoliczności, znajduje się przy mężu. Marta różniła się od swojej wybuchowej, apodyktycznej matki. Spokojna, cicha, opanowana, zawsze stała z boku, ustępując innym. Chorobliwa nieśmiałość i nazbyt oryginalna uroda zniechęcały amantów, którzy nie ustawiali się do niej w kolejce. Na dyskoteki zaczęła chodzić za namową matki, która powtarzała, że jeżeli nie zmieni swojego postępowania i nastawienia, to zostanie starą panną. Dlatego gdy spotkała Krzysztofa na jednej z dyskotek, od razu poczuła do niego sympatię, która szybko przerodziła się w coś więcej. Nazwała to miłością, chociaż nigdy wcześniej nie doświadczyła tego uczucia. Wystarczyło, że Krzysztof zabiegał o jej względy. Nie zaliczał się do przystojniaków, ale Marcie to nie przeszkadzało, skoro już przy pierwszym spotkaniu zwrócił uwagę właśnie na nią, właśnie ją wybrał. W jej oczach zdecydowanie dodawało mu to atrakcyjności.